

THE LONDON LITERATI COMMONWEALTH

PAWEŁ GAWROŃSKI



RZECZPOSPOLITA LONDYŃSKA - LITERACI

PAWEŁ GAWROŃSKI

www.off-press.org

2010

translated by

Marek Kazmierski

Water. Foam leaving behind unnamed jelly upon stones and shells. Glands. Malignant growths. Noise when waves hit the shore. No. No, no shimmering sounds, no gull song. No friendly kind of spray. Noise. Screams. A wild look, through semi-shut eyelids. Dank breath loaded with salt. A giant sky-blue smooth-skinned creature, as yet unwritten upon. You cannot write clean! Only crooked. Left to right, right to left. En guard! How deep will the sword go? A rusty nib? A dagger? The pressure all on me now. This the kind of ice floe I want to dance upon. And not even my pen will stumble from now on. This is no miracle. You cannot see what is happening far off. Maybe some wallpaper mural. Or a tattered reproduction in your grandma's bedroom, been hanging there a millennia. An unexpected disruption in a preconceived narrative. Tell the truth: you've no idea what you're capable of. Only. Only when you launch. Ships. Speedboats. An epigram. A sonnet. A giant joke framed within a life raft. Only any good at keeping children and idealists afloat. Form, content. Lilos, inflatable armbands and other preventative measures. The ocean lies described in the Bermuda Triangle. A writer gets it wrong only the once. And they, they know it above all else.

They put up parasols. Colourful blankets. Unknown symbols, Greek perhaps. Gather booze. Pour you some third rate brandy. Avant-garde. Sunnies, sun block, satsumas. Seems they'll be sunning themselves, but no one's baring anything yet. Hair clips. T-shirts shouting "REPORT" from the breast. Notebooks. Furrowed brows. Wise exchanges. Torture beds. No sandcastles being built. No banalities. No. Those they have learnt to sail around. It all seems so decent at first. Though noises seems to spook them. A storm is almost here. Others shake the rains off quicker. They seem to have forgotten which schools they are borne of. Swimmers, rowers. Journalists and writers. Critics, one and all. Our national characteristic. They look on as the waters start to foam. Moses? The gathering falls, silent. Hold their hands in a circle. No one is to break the ring of protective politeness. Of support. The gathering seems to mean to conceal fear. Insecurities? Doesn't matter what the poet meant to say! Only what they managed to say! Hands wrung together expertly. Impossible to unwind. If you cause someone pain it is only to hold on tighter. To bond.

- Darling?
- Beloved! - a sweet brushing of lips against the cheek with each encounter. And god forbid that lipstick should leave a mark. Here literature means money!
- Move aside, you're blocking the sun!
 - Now you're asking too much methinks...

Journalists, literati, rowers. Yachts, huge, giant yachts. Or a plastic, inflatable banana. Bigger than all other craft. When a small wave reaches the scale of a

storm - then they stand up on shore and applaud. No one enters the water. Not even the Chief Ed. Central Operator of the Plastic Banana. Words, nicknames, pseudonyms. Editors. Banana, yacht. Now we can sail back to Poland. Curriculum Fuckwit! They sit in their offices like specialized lifeguards. Experts. Directors. A wooden building casting uneven shadows. Shapes floating on the sand. The downtrodden earth. Everyone avoiding the shade. They don't even like sunlight. All you need is a sizeable light bulb. A spotlight. But shortages are going to have to be borne. Come. Come. Often. Hold hands. Applaud.

Where were you off to, my good man? I should have guessed a long time ago. When I heard the first stomp. Felt the first touch. Some child's cry. Concrete here. No sand, no other loose substance seeping delicately through the fingers. Bedrock. They have no intention of moving. Maybe nothing moves them. Nothing tempts. That's all they have. A giant plastic banana. They'll defend the bugger. Get it in the water! Forget. Beach, balls, brollies. The dying whistles of the lifeguard, standing by in terror, in turmoil. Literary competition. Though even some dirty outsider can be made to fit. The dazed beachcombers staring, dumb, while paper floats on forever having hit water. Whistles, signals. The long strides of one committed to drowning. Running so fast grains slap against his bare back. Sparks flying sky high, high enough to burn the eyes and torch the crossword puzzles laid out across the sand. A writer gets it wrong only the once. The sea simmers. They stare on with distaste. Attempt no warning. Don't know how. Don't know how to swim any more.

Paweł Gawroński Born in 1982. Following a quiet childhood, in a village near Włocławek, the capital of the Kujawy region, Pawel has always been busy writing, both poetry and prose. First published in May 2005, though in June of same year unfortunately had to leave Poland. His current residence is in the UK, where he struggles to continue his literary existence.

Woda. Piana pozostawiająca na kamykach i muszlach tę nieprzyjemną w dotyku galaretę. Glony. Nowotwory. Łomot gdy rozbijają się fale o brzeg. Nie, nie, żaden szum, czy piszczące mewy. Przyjazna bryza. Hałas, ryk. Wściekłe spojrzenie, przez przymknięte powieki. Nieświeży oddech o słonawym zapachu. Wielkie, bielusińskie, gładkie stworzenie, na którym nic jeszcze nie zapisano. Nie można pisać wzdłuż! W poprzek. Z lewej do prawej, z prawej do lewej. W głąb! Jak głęboko można wbić miecz? Pordzewiałą stalówkę? Mizerykordię? To zależy tylko ode mnie. Po takiej tafli to można sobie pochodzić. I nawet pióro od dzisiaj nie będzie się już potykać. Żaden cud. Nie można zobaczyć co się dzieje w oddali. Jakby fototapeta. Odrapany widoczek w pokoju babci. Wisi tu od tysięcy lat. Nieoczekiwany zamęt w fabule utworu. Tak naprawdę nie znasz swoich możliwości. Tylko. Tylko, kiedy popłyniesz. Statki. Motorówki. Fraszka. Sonet. Wielki paszkwil w kole ratunkowym. Tak na prawdę unoszą się tylko dzieci i idealisci. Forma, treść. Materace, motylki i inne środki zapobiegawcze. Ocean opisany jest na Trójkącie Bermudzki. Pisarz myli się tylko raz. A oni doskonale o tym wiedzą.

Porozstawiali parasole. Kolorowe kocyki. Nieznane symbole, chyba greckie. Nanieśli alkoholi. Poleją ci winiaku klubowego. Awangarda. Słoneczne okulary, olejki, mandarynki. Zdaje się, że będą się opalać, ale nikt jeszcze nie zdjął ubrania. Spineczki. Bluzki z wielkim napisem „Reporter”. Notatniki. Pomarszczone czoło. Mądre dyskusje. Madejowe łoże. Nie budują zamków na piasku. Nauczyli się unikać banalności. Na pierwszy rzut oka wygląda to chyba wiarygodnie. Przeraża ich ten hałas. Już prawie sztorm. Po innych ta woda splywa o wiele łagodniej. Oni chyba zapomnieli z jakich przyszli szkół. Pływacy, wioślarze. Dziennikarze i literaci. Wszędzie pełno krytyków. Nasza cecha narodowa. Patrzą jak woda się piętrzy. Mojżesz? Zgromadzenie milczy. Trzymają się mocno za ręce stojąc w kółku. Nikomu nie wolno przerwać tego kręgu, wzajemnej uprzejmości. Wsparcia. W grupie nie widać tak bardzo strachu. Kompleksy? Nie jest ważne co poeta chciał powiedzieć! Jedynie to, co powiedział! Dłonie splecione ze sobą sprytnie. Nie można rozerwać. Jeśli sprawiasz komuś ból to po to by mocniej się trzymać. Scałać.

- Kochaniutka?

- Kochana!- uprzejme muśnięcie polików przy każdym spotkaniu. I broń cie Panie Boże, żeby zostały ślady szminki. Tutaj na literaturze robi się pieniądze!

- Przesuń się, bo mi słońce zasłaniasz!

– O to mnie chyba nie możesz prosić...

Dziennikarze, literaci, wioślarze. Żaglowce, wielkie, wielkie, żaglowce. Albo plastikowy, nadmuchiwany banan. Jeszcze większy. Gdy niewielka fala urasta to rangi sztormu - stoją wtedy na brzegu i biją brawo. Nikt nie wchodzi do wody.

Nawet Naczelny. Naczelny Operator Plastikowego Banana. Słowa, przydomki, pseudonimy. Redaktorzy. Banan, żaglówka. Będzie z czym wracać do Polski. Curvicullum Vitae! Siedzą w swych budkach jak wyspecjalizowani ratownicy. Znaczący. Kierownicy. Drewniane budowle rzucają pokraczne cienie. Kształty falują na piasku. Udeptana ziemia. Każdy unika cienia. Nawet nie lubią słońca. Wystarczyłaby tutaj potężna żarówka. Spory reflektor. Ale jak nie ma to już trudno. Bywaj. Bywaj. Jak najczęściej. Ściskaj ręce. Wiwatuj. Dokąd szedłeś człowieku? Powiniennem się już dawno zorientować. Pierwsze stąpienie. Pierwszy dotyk. Płacz dziecka. Beton. Nie piasek, lub inna sypka substancja przyjemnie przeciekająca między palcami. Fundament. Oni nie mają zamiaru się stamtąd ruszyć. Morze już ich nie porywa. Nie kusi. To jedyne, co mają. Plastikowy banan. Będą tego bronić. Jak najprędzej do wody! Zapomnij. Plaża, piłki, parasole. Markotne, gwizdki przerażonego, kłótliwego ratownika. Konkurencja. Warchoła też da się urobić. Spojrzenia ogłupiałych plażowiczów, a kartka papieru zawsze się będzie unosić na wodzie. Gwizdki, sygnały. Szerokie wymachy stóp rozpędzonego samobójcy. Tak żeby piasek uderzał o plecy. Iskry leciały wysoko. Wpadały w oczy i na książeczki zagorzałych krzyżówkowiczów. Pisarz myli się tylko raz. Morze szumi. Patrzą z otępieniem. Nie próbują ostrzec. Nie umieją. Nie umieją już chyba pływać.

Paweł Gawroński - Urodziłem się 5 października 1982 roku. Dzieciństwo spędzałem spokojnie, na wsi polskiej położonej niedaleko stolicy Kujaw-Włocławka. Od najmłodszych lat wiązałem swoje życie z pisaniem, czy to prozy, czy poezji. Zaowocowało to debiutem w maju 2005 roku. W czerwcu tej samej wiosny musiałem opuścić kraj, stąd moja obecność na wyspie, gdzie staram się kontynuować zamiłowania literackie.